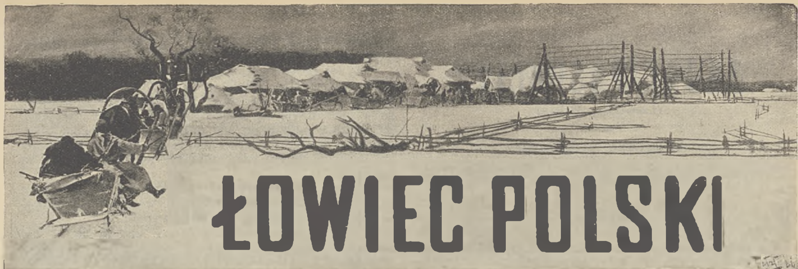


Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Ogólnego zbioru Nr. 121

№ 7. Warszawa, 19 marca (1 kwietnia) 1904 r. Rok VI.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń na ostatniej stronie.



Mieszańce lwa z tygrysem.

ZAJĄC POSPOLITY

(Lepus timidus)

przez

Wiktora Stephana.

(Praca, nagrodzona I-ą nagrodą na konkursie Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa).

(Ciąg dalszy).

Stosunek samców do samic jest w hodowli również bardzo ważnym czynnikiem. Już powyżej było powiedziane, że zazwyczaj rodzi się więcej samców, niż samic, — otóż gdzie ten stosunek nie zmienia się i podczas parkotów, to wywiera ujemny wpływ na ilość potomstwa, gdyż stare samce wypierają młode raz na zawsze z dawnej miejscowości.

Następnie, gdy liczba starych samców przeważa, wtedy niejedna samica pada ofiarą ze zmęczenia wskutek ciągłych gonitw. Z tego wynika, że zbyt wielka liczba starych samców jest dla zwierzostanu nader szkodliwą. Tam, gdzie liczba samic przeważa, jest lepiej, gdyż rozmnażanie może się odbywać prawidłowo. Aby stosunek płciowy uregulować, wyłapuje się w zimie zające (w łapki takie, jakich się używa na szczury, jednak odpowiednio większe i z dwiema klapami — do takich bowiem łatwiej zające wchodzą) i obcina się samicom uszy w tym celu, by je było można przy następnych polowaniach poznać i oszczędzać.

Jaki wpływ wywiera na podniesienie zwierzostanu stosunek płciowy, najlepiej uzmysłowi przedstawienie liczbowe.

Zostało np. do rozpłodu 100 sztuk zajęcy, w których jest 75 samców i 25 samic, — to w najlepszym wypadku, licząc po 8 młodych na samicę, będzie w jesieni:

25×8=200+100=300 sztuk zajęcy. Jeżeli zostało po połowie samców i samic, to rezultat będzie lepszy, w razie jednak stosunku właściwego, t. j. jeżeli pozostanie 25 samców a 75 samic, to będzie w jesieni 75×8=600+100=700 sztuk zajęcy, czyli że przyrost w stosunku do pozostawionej ogólnej liczby, będzie największy.

Z tej racyi hodowca-myśliwy często już od połowy stycznia nie poluje, szczególnie z naganką i na terenach, w danym sezonie raz opolowanych, bo wie, że w tym czasie, są samce zwykle już tak ruchliwe, iż nagance pędzić się nie dają i wymykają na boki, więc na linie myśliwych wychodzą przeważnie samice, których ubytek musi ujemnie wpłynąć wogóle na hodowlę.

Najłatwiej zwierzynie zadawać karmę, przywiązując ją do drzew przydrożnych w odpowiedniej wysokości w lesie lub do palików w polu.

Miejsc, w których się karmę zadaje, nigdy nie może być za dużo, tak jednak po przestrzeni należy je rozdzielić, żeby każde żerowisko było ochronione od wiatrów, a co najważniejsze, w suchem miejscu.

Bardzo dobrze jest zadawać owies w snopie, w braku jednak owsa, lub z oszczędności zastąpić go może poniekąd druga koniczyna. Łąkowem sianem zając gardzi. Jako przysmak zadawać okopowe z wyjątkiem buraków, które zjadane bywają przez zające tylko w tych miejscowościach, w których na szerszą skalę bywają uprawiane.

Ażeby w czasie mrozów ułatwić żerowanie, należy okopowe podawać w stanie siekanym, układając siekankę przy ścieżkach w kupki, nakryte od strony mroźnych wiatrów ściołą i t. p. Siekanka ma tę zaletę, że nie zamarza tak łatwo, więc dłużej za pokarm służyć może.

Osobliwym przysmakiem jest pietruszka. Koniczynę najlepiej zadawać co dzień świeżą. Jeżeli jednak codzienne zadawanie z pewnych względów jest niemożliwe, wówczas należy pilnie strzedz, aby koniczyna nie zamokła, a mokrą zdejmować, gdyż z mokrej koniczyny tworzą się w żołądku gałki, których zając strawić nie może i ginie na zapchanie żołądka i kiszek.

Miejsca odpowiednie, jak rowy, brzegi dróg, linij i t. p., dobrze jest obsiać łubinem trwałym i żarnowcem, w jesieni bowiem i w zimie zając chętnie ogryza ich liście i łodygi.

Od czasu do czasu dobrze jest obok żerowisk dawać gałązki akacyi, osiki, wierzby lub drzew owocowych. Karmę zadawać co dzień lub co drugi dzień, jednak regularnie i zawsze w tych samych miejscach,

---

GUY DE MAUPASSANT.

MIŁOŚĆ.

Trzy kartki z pamiętnika myśliwego.

(Dokończenie).

Mieliśmy udać się w drogę o godzinie wpół do czwartej i przybyć na miejsce, oznaczone w rewirze, o godzinie wpół do piątej. Na tem miejscu stała umyślnie dla nas przygotowana budka, która miała nam służyć za schronisko przed strasznym wiatrem, wiejącym nad ranem. Zimno tego wiatru szarpie ciało, jak piła; tnie je, jak nóż; kłuje, jak igły zatrute; ściska, jak kleszcze, i pali, jak ogień.

Krewny tarł ręce jedną o drugą, mówiąc:

— Nigdy jeszcze nie byłem na takiem zimnie, jakie tam panuje. Raz tam bawiłem. Była wtedy godzina szósta, a termometr wskazywał 12° niżej zera.

Zaraz po kolacyi udałem się do łóżka, a przy świetle ogniska, palącego się dużym płomieniem w kominku, zdrzemnąłem się i spałem smacznie.

Gdy zegar bił trzecią godzinę, obudzono mnie ze snu. Włożyłem na siebie płaszcz ze skóry baraniej, a mój krewny, Karol, ubrał się w futro ze skóry niedźwiedziej. Wypiwszy dwie szklanki kawy gorącej i dwa kieliszki wina szampańskiego, wyjechaliśmy z domu w towarzystwie gajowego i dwóch psów, Plongeona i Piere.

Będąc zaledwie o kilka staj od domu, uczułem już zimno, przejmujące mnie do szpiku kości.

Była to jedna z tych nocy, w których ziemia wydaje się jakby martwą od zimna. Powietrze marznące było ciche, można je było, zda się, ująć rękoma, przyprawiało o ból ostry, żaden powiew wiatru nie poruszał go, było zastygłe i nieruchome. Kąsało, przedzierało się do wnętrzności, suszyło i czyniło martwemi drzewa, rośliny, owady, które padały bez życia z gałęzi na ziemię skostniałą, a potężny mróz czynił je również skostniałemi.

Księżyc, w ostatniej kwadrze, był cały na bok przechylony i zupełnie biały. Zdawało się, że tam zemdlał wśród przestrzeni, a z osłabienia wielkiego nie może się ruszyć z miejsca i utknął na wyżynie, gdzie panuje silny, straszny mróz niebieski.

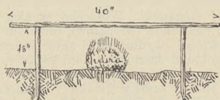
Księżyc słał na ziemię światło słabe, blade, to światło nikłe i gasnące, jakie rozsiewa w końcu każdego miesiąca przed nowem odrodzeniem.

Ja i Karol szliśmy jeden obok drugiego; plecy mieliśmy pochylone, ręce tkwiły w kieszeniach, a strzelby nieśliśmy pod pachą. Buty nasze były owinięte w wełnę, żeby się nie ślizgać, idąc po lodzie, i żeby nie wydawać odgłosu niepokojącego. Patrzyłem na oddech naszych psów, ktory zamieniał się w dym biały.

Skoro raz rozpoczęło się karmę zadawać, to już zadawać ją ciągle, bez względu na to, czy zima łagodna, czy ostra.

W szpilkowych lasach wreszcie zadawanie karmy jest zawsze bardzo ważne i pożądane, z braku bowiem innego pożywienia, zając żywi się szpilkami i twardemi pędami, zapada przeto łatwo na chorobę wątroby (gnicie), a na wiosnę gdy ma dostatek pożywienia (bujna, młoda pasza), dostaje rozwolnienia i często ginie.

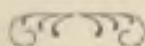
Tam, gdzie w lasach lub zwierzyńcach są jelenie lub daniele, należy zającom zapewnić pokarm przez stosowne, niskie, daszkowate nakrycie. Koniczynę, przywiązaną do drzew, zjadłaby zawsze gruba zwierzyna, więc aby temu zapobiedz i zapewnić zającom karmę, robi się niskie schowki, pod które układa się koniczynę, a zające tam spokojnie sobie żerują i często nawet pod budką zalegają.



Przekrój poprzeczny budki do zadawania karmy dla zajęcy.

W razie, jeżeli na tem zależy, żeby sarny otrzymywały równocześnie pożywienie, wtedy należy karmę tę wiązać nieco wyżej, a łodygami i resztkami, spadającemi z wiązanek, pożywią się zające dostatecznie. Nisko bowiem przywiązaną koniczynę, wyjadłyby zawsze zające sarnom. Dobrze jest zwłaszcza tam, gdzie dla pewnych względów trudnoby było codziennie świeżą karmę zadawać, ustawiać dla zwierzyny stałe stożki z karmą, doświadczenie bowiem uczy, że ze stogów nawet gorszej jakości paszę bardzo chętnie zwierzyna przyjmuje.

(*D. c. n.*).



TERRIERY I PINCZERY.

(*Ciąg dalszy.*)

Jak już wspomniałem, przed pięćdziesięciu mniej więcej laty, rasa fox-terrierów uznaną została przez angielski Kennel-klub i od tego czasu jest prowadzona sama w sobie, to jest bez jakichkolwiek krzyżowań. Znakomite przymioty fox-terrierów, jako psów myśliwskich do polowania w norze, a przytem wybornych szczurołapów, sprawiły, że pieski te w ostatnich czasach rozpowszechniły się po całym świecie; potworzyły się też wszędzie kluby specyalne, protegujące tę rasę, która nawet w Niemczech stała się popularniejszą od jamników. Moda jednak, która wskazała na fox-terriery, jako na poszukiwane pieski pokojowe, wyrządziła im niedźwiedzią przysługę; w rękach ludzi niekompetentnych i pozbawiona właściwej, myśliwskiej praktyki, ta niedostatecznie jeszcze ustalona rasa musi degenerować, a psy, pochodzące od takich pokojowych ulubieńców, psują niepotrzebnie opinię swym, rzeczywiście roboczym pobratymcom. To też przy nabywaniu fox-terrierów starać się trzeba o potomstwo psów, które złożyły dowody dzielności czy na polowaniu, czy na próbach w sztucznej norze.

Oprócz cech, podanych już powyżej, a wspólnych dla całej grupy I-ej, fox-terriery powinny odpowiadać następującym warunkom: Morda dość szczupła, wydłużona, wrzecionowata, zwężająca się ku końcowi, lecz w niczem nieprzypominająca charciej. Szczęki bardzo mocne i bezwarunkowo równej długości. Oczy wpadnięte, a uszy tak zwieszone ku przodowi, żeby w żadnym razie część wewnętrzna ucha nie była widoczną; jestto bardzo ważne ze względu na obsypujący się piasek, który w norach mógłby uszkadzać wypukłe oczy i dostawać się do uszu. Oprócz głowy, fox-terrier powinien całą budową i postawą przypominać fox-hounda w miniaturze. Muskulatura powinna być dobrze rozwiniętą, lecz nie za bardzo, gdyż to czyniłoby psa zbyt masywnym i ciężkim. Szerść powinna pokrywać dokładnie całego psa, nawet brzuch i wewnętrzną stronę ud; jest to także bardzo ważne, gdyż bez takiej ochrony pies zdzierałby skórę, pełza

---

Niezadługo doszliśmy do brzegu bagniska i kroczyliśmy pośród alei sitowia, która się ciągnęła wzdłuż całego tego lasu nizkiego. Ramionami dotykaliśmy zlekka liści długich roślin wodnych, z czego powstawał szmer lekki, ledwie dosłyszalny. W tej chwili czułem, że ogarnia mnie to potężne, dziwne wrażenie, które budzi się zawsze na widok bagna. A przechodząc pośród mnóstwa trzcin suchych, widzieliśmy, jak bagno obumarło z powodu mrozu potężnego nie do wytrzymania.

Nagle w jednym z zakrętów w tej alei ujrzałem budkę, ustawioną dla nas dla ochrony od zimna. Wszedłem do środka, a ponieważ do czasu obudzenia się ptaków wędrownych pozostała jeszcze prawie cała godzina, przeto otuliłem się kołdrą i położyłem na ziemi, usiłując w ten sposób rozgrzać się. Leżąc na grzbiecie, zacząłem przypatrywać się bladolicemu księżycowi, który przez ściany przezroczyste tego domku polarnego wydał się, jakby miał cztery rogi.

Lecz niezadługo począł mnie przejmować nawskroś chłód bagna zmarzniętego, chłód ścian otaczających i chłód, schodzący z niebios wysokich. Tak silnie mi dokuczało zimno, że zacząłem kasszleć.

Karol zatroszczył się o mnie i rzekł:

— Skoro bądźcobądź, nie będziemy dzisiaj dużo polowali, nie chcę, żebyś się zaziębił. Trzeba rozpalić ognisko.

Po tych słowach kazał strażnikowi nazbierać gałęzi.

Za chwilę przyniesiono wielki pęk sitowia do budki, która miała w dachu wylot dla dymu. Gdy rozpalono ogień, a płomień czerwonawy unosił się do góry wzdłuż czystych ścian kryształowych, zaczęły one powoli tajać, poczem zaraz okryły się wilgocią, jakby kroplami potu.

Nagle usłyszałem głos Karola, który znajdował się teraz na zewnątrz budki. Wołał on:

— Wychodź no i popatrz!

Wyszedłem i stanąłem jak wryty, oszołomiony ze zdziwienia. Budka nasza, która miała kształt kopuły, kończącej się u góry spiczasto, podobna była do ogromnego szmaragdu wielokątnego z ogniskiem, palącem się sercem po środku, utkwionem nad zmarzniętemi wodami bagna. We wnętrzu tego obrazu ukazywały się dwa widma fantastyczne: były to dwa psy nasze, które grzały się przy ognisku.

Wtem usłyszeliśmy nad głowami dziwny głos krzykliwy, strwożony i niespokojny. Blask naszego ogniska przebudził ze snu dzikie ptactwo.

Nigdy nie byłem tak przerażony, jak teraz, usłyszawszy pierwszy ten głos życia, które nie było widoczne i zniknęło szybko w ciemnem powietrzu, zanim zaświtał na krańcu nieba pierwszy brzask dnia zimowego. W owej chwili, poprzedzającej budzenie się dnia, krzyk ptactwa wydał mi się jękiem duszy świata całego!

Wreszcie odezwał się Karol:

— Zagaś ogień, bo już dnieje!

jąc w norach. Co do gatunku szerści fox-terriery bywają dwóch odmian: krótko i ostrowłose, lecz u krótkowłosych szerść nie może być ani zbyt krótką, ani delikatną; przeciwnie powinna być dość twardą w dotknięciu; u ostrowłosych znów szerść nie powinna być zbyt długą, ani pokręconą, ani wełnistą. Na maść mniej się zwraca uwagi; w każdym razie im więcej białego, tem lepiej. Łaty mogą być czarne, czarne z podpalaniem, żółte i bure; unika się łat kasztanowatych i z pręgowaniem na tle burem lub żółtem. Wzrost od 35 do 40 ctm.

Tablica do oceny terrierów pierwszej grupy.

	TERRIERY					
	Airedale	Welsh	Irish	Old english	Fox	Bedling-ton
Wygląd ogólny	15	10	10	15	15	10
Głowa i uszy	20	20	20	15	15	20
Oczy i nos						10
Szyja	10	10	5	5	5	5
Pierś i łopatki			10	15	15	
Grzbiet i krzyż	10	10	10	10	10	15
Zad	5	10	10	5	5	
Nogi i łapy	15	15	10	20	20	15
Ogon	—	—	—	5	5	—
Szerść	15	15	15	10	10	15
Maść	10	10	10	—	—	10
Razem	100	100	100	100	100	100

6. Bedlington-terrier (albo terrier northumberlandzki).

Różni się od poprzednich ras tej grupy lżejszą budową, węższemi piersiami, dłuższą szyją i słabszym zadem. Uszy także ma dłuższe, formy liścia, osadzone nizko ku przodowi i wiszące prosto na dół, a nie zwieszone naprzód, jak u poprzedzających. Bardzo charakterystyczną cechę terrierów northumberlandzkich stanowi czuprynka, utworzona z włosków, sterczących do góry i porastających całe czoło. Czuprynka ta powinna być jaśniesza od reszty ciała, a im jaśniejsza, tem lepiej. Ogon u psów tej rasy nie obcina się; powinien on być gruby przy osadzie, cienki na końcu i szablowato wygięty. Szerść bedlington-terriery mają średnio długą, złożoną w połowie z ostrych i twardych, a w połowie wełnistych włosów, nieleżących gładko. Maść może być:

a) albo ciemno siwa lub popielata, z podpalaniem lub bez podpalania; psy tych maści powinny mieć oczy ciemne i nosy czarne,

b) albo kasztanowata, orzechowa lub płowa; psy tych maści powinny mieć oczy jasno-piwne i nosy brunatne lub ciemno-cieliste.

Wysokość bedlington-terrierów nie powinna przewyższać 40½ ctm.

Grupa druga.

Główne cechy typowe tej grupy są takie same, jak poprzedniej, ale wygląd psów do niej należących, jest więcej elegancki. Widoczną w nich jest domieszka krwi charcików (wippetów), skutkiem której mordy mają więcej wydłużone i szyje znacznie dłuższe, ale ani ogólnemi konturami, ani kształtem głowy nie powinny zbytecznie przypominać chartów. Szerść mają gęstą, bardzo krótką, gładką i błyszczącą. Ogony powinny być niedługie, grubsze przy osadzie, a cienkie na końcu, proste, nigdy niepodnoszone wyżej linii krzyża i nieobcinane. Uszy dawniej były obcinane w formie, jak najbardziej zaostrzonej ku górze, i skutkiem obcięcia stojące. Moda ta i obecnie jest praktykowana na stałym lądzie, lecz w Anglii od kilku lat została zmienioną i na angielskich wystawach psy z obciętemi uszami nie są dopuszczane do ekspertyzy.

August Sztolcman.

(*D. c. n.*).



I naprawdę niebo jaśniało coraz bardziej, a po niem, jakby długie plamy, nikłe i rozwiewne, przesuwały się liczne szeregi młodego ptactwa.

W ciemności, która jeszcze trwała, zabłysło jaskrawe światło. To Karol wystrzelił, a psy przygotowały się do biegu.

I co chwila strzelaliśmy, raz ja i raz on, do stada ptaków, które ukazywały się z pośród sitowia. Psy biegały wesołe, dysząc ciężko, i przynosiły nam zwierzynę, broczącą we krwi, a czasami przypatrującą się nam jeszcze żywem okiem.

Dzień rozbudził się na dobre; był jasny i piękny. Słońce wyjrzało ze skraju doliny, zamierzyliśmy przeto udać się do domu. Wtem jednak przefrunęły cicho nad naszemi głowami dwa ptaki o wyciągniętych szyjach i rospostartych skrzydłach. Ja wystrzeliłem. Jeden z ptaków upadł mi zaraz pod nogi.

Była to dzika gęś białobrzuszna, srebrzysta. Nagle usłyszałem ponad swą głową wysoko głos krzykliwy ptaka. Głos ten brzmiał, jak krótka skarga żałośliwa, ustawicznie się powtarzająca i przenikająca do głębi duszy. Była to skarga małej istoty, pozostałej przy życiu, która krążyła pod błękitem niebios nad naszemi głowami i patrzyła na swego towarzysza ubitego, znajdującego się w mem ręku.

Karol ukląknął, trzymając fuzyę na ramieniu. Patrzył na ptaka wzrokiem natężonym i czekał, aż się więcej zbliży.

— Tyś zabił samicę — odezwał się do mnie — a samczyk nie odstąpi stąd.

I naprawdę nie odstępował. Nie przestawał krążyć i zawodzić wokoło nas. Nigdy jęk bólu nie rozdzierał tak mego serca, jak ten krzyk żalu, ta skarga jęcząca nieszczęśliwego stworzenia.

Chwilami odlatywał, jakby obawiając się strzelby, która czyhała na jego lot zbliżony. Wtedy zdawało się, że gotów jest sam odlecieć ku krainom niebieskim. Ale nie mogąc się na to zdecydować, wracał zaraz znowu, by poszukać swej towarzyszki.

— Połóż się na ziemi — rzekł do mnie Karol —, samiec się zaraz zbliży.

I zbliżał się naprawdę, pociągnięty potęgą miłości żywej istoty do drugiej, którą ubiłem, i nie zważał na niebiezpieczeństwo mu grożące.

Karol wystrzelił. Zdawało mi się, jakby ktoś przeciął nić, na której ptak był u góry przywiązany. Widziałem coś czarnego, spadającego na ziemię, i słyszałem łomot spadającego ciała śród gąszczu sitowia. Po chwili pies przyniósł martwego samczyka.

Włożyłem go do torby, ale był już zimny... I tego dnia jeszcze powróciłem do Paryża.

. . . .

Przełożył *J. K--z.*

Kilka słów w sprawie pointerów.

(Dokończenie).

Od pointera należy wymagać, aby zagarniał w systematycznem szukaniu duży kawał pola, zdarza się więc często, że pies odchodzi od myśliwego na dwieście kroków i więcej, ciemna więc jego barwa i w dodatku szczególna pozycya przed zwierzyną utrudniać mogą obserwacyę psa.

Z tego względu krzyżują teraz pointera czarnego z możliwie dobrymi osobnikami pointera południowego i wytwarzają wyżła, w którym krew „fox-hound'a" zostaje zobojętnioną w części, a co zatem idzie, wykorzenia się ujemne własności zdegenerowanego psa i jednocześnie usuwa braki pointera czarnego, mianowicie przedewszystkiem jego maść. Że kombinacya ta rzeczywiście dała owoce dobre, o tem świadczy okoliczność, iż większość pointerów, otrzymujących nagrody na field-trial'ach", to „black bred" — pochodzące z czarnych.

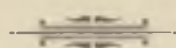
Można więc mieć nadzieję, że ród pointerów znów nietylko wejdzie w modę, ale rzeczywiście odda myśliwemu usługi. Czy warto jednak wobec całego szeregu innych ras starać się o odrodzenie pointerów, czy nie zastąpią ich settery, albo nawet wyżły t. z. niemieckie, o których to ostatnich nawet u nas przesadne się ma wyobrażenie? Sądzę stanowczo, że nie. Settery są bez kwestyi psy dobre i piękne, szczególnie szkockie, dawniej zwane mylnie „Gordonami", i z pewnością są odpowiedniejsze dla „moorów" szkockich, niż pointery, które nie mogą wytrzymać na czas dłuższy ciągłych frykcyj o roślinność owych moorów i które notorycznie mają odrazę do wilgoci i mgły, w jakie obfituje Szkocya. Dla naszych też stosunków klimatycznych nie powiem, aby były odpowiednie, szczególniej z tego względu, że nie znoszą gorąca, jakiem często darzy nas słońce podczas polowań wczesnych na kuropatwy. Widziałem w ostatnich trzech latach w Zachodniej Szkocyi settery, które, pracując w takich warunkach, nie wytrzymały w polu przy pracy dłużej, niż 3 — 4 dni. Uwłosienie więc długie, korzystne w Szkocyi, jest u nas raczej zawadą, tembardziej, że utrzymanie w czystości psa długowłosego jest przecież trudniejsze, niż krótkowłosego.

Co zaś do sposobu szukania niema settera, któryby dorównywał dobremu pointerowi, a ideałem hodowców pierwszych jest wytwarzanie psów, któreby szukały tak, jak pointery,—ideału tego jednak dotychczas nie dosięgnięto.

Co zaś do krótkowłosego, albo jakiegobądź wyżła niemieckiego, owego osławionego „Gebrauchshunda", "Madchen fur Alles" — to wolę o nim wcale nie mówić. Nie przeczę, że myśliwy z zawodu, któremu pies ma towarzyszyć na każdym kroku, oddawać najrozmaitsze usługi, nie powinien posiadać wyżła angielskiego, albowiem zepsuje go, t. j. spaczy w nim te właściwości, które dla sportsmana są najpożądańsze; niech więc myśliwy taki trzyma sobie wyżła niemieckiego. Ci zaś, którzy w myślistwie widzą rozrywkę, cel wyrwania się na krótki choćby tylko czas z pracowni, bibliotek, fabryki lub biura, dla odetchnięcia świeżem powietrzem i nacieszenia się wiecznie cudną przyrodą, ci doznają prawdziwej przyjemności, jeżeli mają możność, posiadając dobrego wyżła angielskiego, a przedewszystkiem pointera, podziwiać jego pracę. Wychodzisz w pole z psem na smyczy, puszczasz go — „go on"—pomknie, jak strzała, dawno wzdychając do ruchu, do emocyi. Krótki gwizd, a nerwowiec twój, jak gdyby kulą z „Mannlichera" przeszyty, na ziemi bez ruchu leży. Po tym hamulcu, skinieniem ręki znów wprawiasz go w ruch, zaczyna się robota na dobre, ścierń galopem się bierze, szuka gorliwie, zagarniając przed panem pole to w prawo to w lewo, nos w górze, ogon wesoło obrabia boki. Wtem, w największym biegu staje „nerwowiec" bez ruchu, w pozycyi przepięknej, z marmuru wykuty, chyba nawet piękniejszy, innym razem w pozie, zdającej się urągać prawom mechaniki. Pan nadchodzi, „nerwowiec" okiem nie mrugnie, kury zrywają się, strzały, „nerwowiec" pada na ziemię, jak gdyby to on ugodzony został. Apport*). Inna scena; środowisko: kartofle, nać jeszcze duża, szukanie odbywa się powolniej, nerwowiec przykucnął i wyciągnął się, jak struna; podchodzisz, w psie wszystkie mięśnie jak gdyby w tańcu, tylko ogon bez ruchu. Przeczuwasz, co to ma znaczyć; w istocie, zając się zrywa o strzał, a nerwowiec, choć widzisz, że wszystko w nim wre, z miejsca się nie rusza, jakgdyby przykuty.

Zaiste pointer dobry, to gentleman w wyżlim rodzie; kto pozna go gruntownie, zrozumie jego duszę, potrafi wyzyskać jego przymioty, ten nie odstąpi go nigdy.

L. M.



TAŁYSZ.

Dziki ten zakątek Zakaukaskiego kraju od wielu lat pociągał mnie bogactwem swej fauny; paliła mnie nieprzeparta żądza zwiedzenia tajemniczych jego lasów, nęciła chęć zajrzenia w pełne dzikiego zwierza puszcze. Serdeczne zaproszenie na tygrysa przez p. Wasilewskiego, nadleśnego Tałyszskich lasów, przyspieszyło doprowadzenie do celu mych dawnych marzeń i dążności, i z końcem grudnia r. z. wyruszyłem w daleką podróż. W przejeździe zawadziłem o Baku, perskie Badkube (podmuchy wichrów). Gród ten, zbudowany w VI stuleciu, zawojowany w VIII przez plemiona arabskie, dopiero z końcem XVI wieku powrócił pod panowanie pierwotnych swych władców i do końca XVIII stulecia pozostawał pod rządami możnowładnych Bakińskich chanów. Ustawiczne napady Turcyi i wojny z Rosyą w końcu XVIII i na początku XIX stulecia przyprowadziły to miasto do zupełnej nędzy i ruiny, i z upadkiem chana Husseiny Kuli w 1806 r. ostatecznie przyłączone do Rosyi, dziś Baku jest głównym rynkiem handlu Europy z Azyą. Ruch też tu wielki, a życie handlowe, zabiegi o miłą fortunę widoczne na każdym kroku. Dzielnica europejska niczem się nie różni od wielu innych miast portowych, za to azyatycka z labiryntem licznych, wąskich, krętych a brudnych uliczek, z masą okrągłych kopuł meczetów i smukłemi wieżyczkami minaretów, staremi murami dawnej fortyfikacyi, zamkiem chanów i kolosalną wieżą Dziewiczą, jest godna widzenia; również „Czarne miasto", mieszczące w sobie olbrzymie studnie i fabryki naftowe i olejów, z nieprzejrzanym lasem kominów, tysiącem rur napowietrznych i podziemnych, jest nader zajmujące. W czarnym tym grodzie wszystko czarne: mury, domy, ulice, ludzie, ba! nawet wróble, umazane kopciem i otłuszczone smrodliwym nalotem, a niebo wiecznie przysłonięte gęstą chmurą czarnego dymu. Nigdzie też chyba nie rzuca się tak rażąco w oczy mieszanina Europy z Azyą, jak tutaj. Obok eleganckiego powoziku na gumach toczy się skrzypiąca, dwukołowa „arba" azyaty, w nędznego zaprzężona osiołka; cylindrowy jegomość idzie obok poważnego Sarta lub Bucharczyka w białym zawoju; elegancka blondyna prześciga wolnokroczącą czarnooką, w kraciastą płachtę owiniętą tatar-

*) Ogólnie mniemają, że pointery nie aportują, lecz błędnie. Zapewne, nie wszystkie osobniki nadają się do tego, podobnie jak zresztą nie wszystkie wyżły niemieckie.

kę; turecka czerwona fezka miesza się z czarną persa lub baranią papachą „ambaly“ (tragarza). Poważny głos dzwonu z wieży ormiańskiego kościoła zlewa się z monotonnem nawoływaniem mułły na modlitwę wiernych, a ruchliwe dzwonki na dzwonnicy prawosławnego soboru wybijają żywe, gammowe takty. Co chwila przemyka jeździec, juczny leniwo kroczy osiołek, ciągną długie karawany obładowanych towarami, wielbłądów garbatych.

Lecz oto i sygnał z przystani słychać, czas w dalszą ruszać drogę; zabieram pakunki i wstępuję na pokład „Lenkorańca“, odbywającego „reis“ między Baku a perskiem Eureli. O 7-ej opuszczono flagę, podniesiono kotwicę, zaszumiało olbrzymie wnętrze parostatku, zawarczała śruba i odbiliśmy od brzegów. Całe towarzystwo i załoga statku wyległy na pokład, by lubować się piękną panoramą, amfiteatralnie nad morzem położonego Baku, migocącą tysiącznemi światły w zapadającym zmroku wieczornym. Smukły i zgrabny nasz statek, prując swą wązką piersią modre wody Apszerońskiej zatoki, szybko wypłynął na pełne morze, a łagodne dotąd powietrze, raptownie się zmieniło i powiał ostry wiatr północny. Wkrótce też czarujący widok Baku zanikać począł w ciemnej dali i tylko jeszcze czerwone światło z bakińskiej strażnicy morskiej kiedyniekiedy zamigotało, ale i ono wkrótce zagasło. Podmuchy ostrego N. O. coraz dotkliwiej smagać zaczynają, a deszczem ciężarne chmury, raptownie zaciągnęły czarną powłoką firmament i lunął deszcz obfity. Pospiesznie zwijają żagle, napinają płótna nad „trumami“ i pokładem, zakrywają szczelnie luki, a w sali jadalnej rozstawiają drewniane podstawy pod szkła i naczynia. Wicher co chwila się wzmaga, aż w końcu zamienia się w huragan. Fale, piętrząc się z wściekłością i wyciem biją w boki naszego parowca, a rozbite o żelazne jego ściany, tem żywiej się cofają, gromadzą, by z większą jeszcze siłą, impetem i zawziętością napastować. „Lenkoraniec“ drży i trzeszczy w wiązaniach, kołysze się gwałtownie z boku na bok, to znów podskakuje na szczyty spienionych fal, to raptownie spada z ich grzbietów na to tylko chyba, by za chwilę wyżej podskoczyć, więcej się zakołysać. Na pokładzie szybkie kroki strażujących, ciągłe świstki sygnałowe, krótkie rozkazy oficerów, brzęk łańcuchów, świst lin, łopotanie płócien, warczenie pomp zlewa się z rykiem fal i wyciem wichru w jedną, ogłuszającą, pełną grozy muzykę piekielną. Schodzę do kajut: tam trzask drzwi, brzęk szkła, szum padających przedmiotów miesza się znów z jękiem chorych, płaczem dzieci, wyrzekaniem kobiet i wzywaniem pomocy i ratunku Allaha, Hospodi i Boga. Nad ranem burza przycichać poczęła, jasne słońce, wynurzając się z łona rozhukanych fal, zalało swym złotym blaskiem ukazujące się w dali, śnieżne szczyty Tałysza, z królującym nad nim Kis Jardem i Dombałem. Byłem wreszcie po sześciu dobach podróży u jej celu.

Nad brzegiem Kaspijskiego morza, u podnóża perskiego łańcucha gór Tałyszskich, wśród cienistych borów odwiecznego dębu i sękatego azatu *(Zelcovia crenata)*, który dziś wymarł wszędzie, żyjąc tylko jeszcze w Lenkorańskich rewirach, nad Rionem i w Ameryce, otoczony licznemi moczarami, jeziorami i rzekami, leży stary gród perski Lenkorań, dawna stolica możnych Tałyszskich chanów. Prócz resztek dawnej fortecy i starej wieży, dziś za morską latarnię służącej, kilku meczetów i muzuł (starego cmentarzyka), miasto to niczem nie przypomina dawnej swej świetności. Jeszcze do niedawna Lenkorań służył za punkt zesłańczy dla sekt Sabotników i Mołokanów, obecnie w możności i dostatkach tu żyjących. Dziś mieści się tu powiat, zarząd leśnictwa głównego, sądy, szkółki, komora celna, sztaby pogranicznej straży i milicyi, i poczta. Ludność, dochodzącą do 5000 głów, składają przeważnie tatarzy – Tałysze, irańskiego pochodzenia, zgrabni, o rysach nierzadko pysznych, kobiety krępe, czarne, chodzą z odsłoniętemi twarzami w szerokich szarawarach, mężczyźni szpecą się malowaniem włosów, brody i paznogci czerwoną farbą (hanną).

Prócz wielu Rosyan, przebywa tu na wyższych urzędowaniach kilka rodzin polskich. Odcięci od rodzinnego kraju tysiącami wiorst, pozbawieni wszelkich wygód, bez kościoła i towarzystwa, w miejscowości malarycznej, narażeni w każdej chwili na niebezpieczeństwo ze strony rozbójniczych band Kurdów i Tałyszów, zakopali się tu na długie lata, poświęcając się mozolnej, cichej pracy około dobra ogółu. Przed tymi pionierami cywilizacyi winniśmy uchylić głowy z szacunkiem. Przebywam kilka brudnych błotnistych uliczek i staję na cerkiewnym placu w progach gościnnego domu pp. Wasilewskich, a miłe wrażenie serdecznego przyjęcia potęguje się jeszcze widokiem własnoręcznych trofeów gospodarza, masą ptaków, rogów, skór dzikich, wilczych, rysich, szakalich, niedźwiedzich, panter i pięknego tygrysa. Plany łowów były już gotowe, zwierz otropiony; zaproszony na trzeciego rodak, p. Wac. Kłosowski.

Wł. Czerniejewski.

(D. c. n.)

WYPRAWA MYŚLIWSKA
do Mongolii.

(Ciąg dalszy).

Cały tydzień prawie chłód, głód, niepogoda i stały pech, ale to wściekły pech! Naprzykład 4 maja. Jedziemy ze stawu nad Iro z powrotem do Karengolu, po drodze wyskakują dwie sarny i bliziutko stają, ciekawie na nas patrząc. Zeskakuję z konia, składam się i nie mogę wystrzelić. Okazuje się, że szanowny Iwan, czyszcząc wczoraj wieczorem Mausera, ułożył nie tak, jak trzeba, zamek i nim go naprawiłem, już sarny były daleko. Byłem tak wściekły, jak dawno nie pamiętam. Nie dość na tem. Wieczorem rozszedłem się na polowaniu z myśliwym moim i on natknął się na ogromną niedźwiedzicę z małemi. Nim mnie odszukał, zrobiło się ciemno i choć odszukaliśmy ich dnia następnego, nie mogliśmy nic, oprócz śladów, odnaleźć. Na szczęście Feliks zabił dwie kaczki; powitaliśmy go więc, jak ongi Rzymianie zbawcę ojczyzny. Jak nam po kilkodniowej czystej herbatce zupka z tych kaczek smakowała, o tem mówić nie potrzebuję!

Nakoniec szczęście i nam posłużyło. Dziś rano mróz formalny i wiatr taki, że wolałem z mego worka nie wyłazić, i dobrze na tem wyszedłem, bo ani żywa dusza na „uwały“ nie wylazła. Za to po obiedzie trochę jaśniej się zrobiło i, co prawda, bez najmniejszej nadziei wybraliśmy się na polowanie. Ledwieśmy z Iwanem na górę wyleźli, zaczął walić śnieg, że aż ciemno się zrobiło. Wobec tego, straciwszy nadzieję spotkania czegośkolwiek rozdzieliliśmy się z Iwanem i poszliśmy pojedyńczo. Dość długo szedłem, ani żywego ducha nie widząc, wreszcie wycieńczony wdarłem się na sam cypel góry i usiadłem, aby odpocząć. Po chwili wstałem, by ruszyć dalej. Nagle zoczyłem dwa duże jelenie w odległości jakichś 400 metrów z lewej strony grzbietu góry. Co prędzej cofnąłem się i przeszedłszy na drugą stronę, zrobiłem kilka kroków naprzód, gdy ujrzałem i z tej strony drugie dwa jelenie, ale te już mię zobaczyły i stały z podniesionemi głowami w tej samej, co i poprzednio, odległości. Nie było rady, złożyłem się i raz po raz dwie kule posłałem, niestety obok. Trzeba tego pechu, że zostawiłem lunetę w futerale u Iwana. Po moich strzałach wyskoczyły jeszcze cztery sztuki i wszystkie, odbiegłszy trochę, stanęły i spoglądały na mnie.

Prędko broń nabiłem i jeszcze dwa strzały, zupełnie niewinne, spłoszyły jelenie. W tej chwili wylazi z za krzaka Iwan i rzecze:

— Ej barin, barin! Ja tutaj pół godziny siedzę i czekam, żeby pokazać jelenia, a wy kozy strzelacie.

Okazuje się, że on przyszedł przedemną na grzbiet, zobaczył jednego byczka jelenia i siedział cicho, czekając na mnie, — całe zaś stadko, do którego ja strzelałem, było za sosenkami, tak, że on go nie widział. Pokiwaliśmy głowami i z ciężkiem westchnieniem a smutną miną zawracam na grzbiet. Mnie rozpacz poprostu gryzie. Pierwszy raz w życiu widzieć jelenie, strzelać do nich i *fiasco*! A co Feliks powie! Ja z niego drwiłem potężnie, gdy on spudłował. Wtem jakby mię coś tknęło. Mimo woli rzucam okiem w bok i widzę: w gąszczu niedaleko, jak o czterdzieści metrów, stoi jeleń—byk i patrzy na mnie. W jednej chwili sztucer do oka i strzelam. Jeleń zawraca się i najspokojniej uchodzi. Czyżbym spudłował?! Drugi strzał w zad i zwierz ruluje efektownie, staczając się kilkadziesiąt metrów po pochyłości. Przyznam się, że tak szalona opanowała mię radość, iż kto wie, gdyby nie moja poważna broda, możebym hopki, jak mały dzieciak, wyprawiał. O mało nie uściskałem mego poczciwego Iwana, którego cała postać najwyższą radość wyrażała. Podchodzimy do zwierza i okazuje się, że pierwsza moja kula weszła w lewą łopatkę i wyszła prawą. Kości, co prawda, nie ruszyła, ale wychodnia rana była wielkości conajmniej rubla srebrnego. I z taką raną jeleń ani się nawet nie zachwiał! Druga kula jeszcze straszniej poraniła go, weszła przez zad, przeszła wzdłuż całej kości pacierzowej i kawałki jej wyszły przez szyję. Jeleń okazał się czterolatkiem, niestety, bardzo chudym i z nędznemi, poroslemi jeszcze skórą, rogami. Iwan zajął się patroszeniem, ja poszedłem do taboru, by wysłać po zdobycz konia. Po drodze zerwał się jarząbek i usiadł na pobliskiem drzewie. Zupełnie nie zdając sobie sprawy z tego, co robię, wystrzeliłem i z jarząbka została mi tylko główka. Resztę halbmantel w kawałki porwał. Przyszedłem do taboru, wysłałem Petruchę z koniem, a sam czekam na Feliksa. Po chwili zjawia się i widzę, że strzelec niesie cyrankę, ale obaj mają coś bardzo wesołe miny.

Z głupia więc frant na ich zapytanie, co zabiłem, pokazuję główkę jarząbka. Oni z promieniejącemi minami mówią:

— A po nasze trzeba do lasu posyłać!

Ja na to:

— A ja już po swoje posłałem.

Tableau!

— Co masz?

— Jelenia, a wy?

— Niedźwiedzicę.

— No to wart Pac pałaca, a pałac Paca!

Co prawda, to jabym z ochotą z Feliksem się zamienił, bo z mego jelenia nędzne trofeum, a jego niedźwiedzica duża i ślicznie odziana. A też o mało jej nie prześlepił. Oto jego słowa:

— Po rozstaniu się z wami, szliśmy z Kiryłą brzegiem Karengolu. Miałem w ręku śrótówkę, a jemu dałem sztucer i szedłem z zamiarem strzelania do czego się trafi, wobec chwilowego braku mięsa. Zrywają się dwie cyranki, strzelam i zabijam kaczora. Idziemy dalej. Po chwili zaczyna śnieg padać i znowu przestaje. Robi się śliczny wieczór, wiatru niema i słońce grzeje. Jednem słowem wieczór, podczas którego zwierz na pewno wyjdzie na „uwały". Zaczynam w duchu przeklinać, że nie spodziewając się tak ładnego wieczoru, poszedłem w stronę, w której prędzej ptactwa, niż grubego zwierza można się spodziewać. Po namyśle i naradzie z Kiryłą postanawiamy zajść do sąsiedniego klucza*), w którym, jak nam się zdawało, mogły być kozy. Bo co do czego innego, to ani Kiryło ani ja w tej części Karengolu nie mamy zaufania. W tem Kiryło, który stale, jak się zdaje, nawet przez sen upatruje zwierza, woła: „niedźwiedź" i wskazuje na sąsiedni uwał w kluczu, do któregośmy się właśnie zbliżali. Decydujemy się prędko. Od dołu skradać się nie można i niema wystających grzbietów. Więc tylko z góry można go podejść. Cichutko, prawie na czworakach, żeby nas zwierz nie posłyszał, bo był blizko, idziemy dalej Karengolem. Mijamy klucz i wtedy już śmielej włazimy na górę lasem. Wychodzimy na sam jej grzbiet, gdy wtem z daleka dają się słyszeć dwa strzały. Zaczynam odpowiednio was błogosławić, że strzelając do kóz, spłoszycie mi niedźwiedzia i zaczynam wogóle tracić nadzieję... Do tego wiatr, ten wieczny nieprzyjaciel tutejszych podchodów, zaczyna dmuchać w złą stronę, t. j. ku niedźwiedziowi. Kiryło na bosaka schodzi jakieś pięćdziesiąt metrów na dół, żeby z za skały dojrzeć uwał, na którym przed chwilą widzieliśmy niedźwiedzia. Ja również, zdjąwszy obuwie dla łatwiejszego skradania, czekam i po chwili zniecierpliwiony zaczynam schodzić, rozglądając się dokoła. Wtem widzę o jakie sto dwadzieścia metrów niedźwiedzia, idącego brzegiem uwału, o parę kroków poniżej cypla, prawie wprost ku nam. Biorę go na cel z zamiarem dopuszczenia możliwie blizko, lecz w tej chwili zwierz wyłazi na sam cypel. Bojąc się więc, żeby nie uszedł w gąszcz, strzelam na jakieś sto metrów najwyżej. Zwierz ruluje na miejscu, stacza się kilka kroków, wstaje i ucieka tak nieszczęśliwie, że go nie widzę z za skały i kilku sosen. Przychodzę na miejsce strzału, krwi dużo na obie strony. Ze sztucerem, gotowym do strzału na wszelki wypadek, wchodzę śladem do lasu. O jakieś pięćdziesiąt kroków na polance zwierz leży już nieżywy. Duża, bura niedźwiedzica. Kula trafiła ją w samą kość lewej łopatki i wyszła za prawą łopatkę małym bardzo otworem, z czego sądzę, że większa jej część w zwierzu została, a tylko jeden z odłamków przeszedł na wylot.

C. W.

(D. c. n.)

*) „Kluczem" nazywa się parów, w którym bystry przebiega strumień.

NA WILKI ZE STRASZAKAMI.

Pomiędzy drukowanemi dotąd w „Łowcu Polskim" sposobami polowania na wilka, nie znalazłem opisu polowania ze straszakami. Tymczasem w Rosyi, pomiędzy myśliwymi, niemogącymi utrzymywać licznej psiarni gończych i chartów, ten właśnie sposób rozpowszechnia się coraz bardziej, jako najpewniejszy, a bodaj, że i najmniej kosztowny. To skłania mnie do podzielenia się z czytelnikami „Łowca Polskiego" wiadomościami o polowaniu ze straszakami, zaczerpniętemi z rosyjskiej literatury łowieckiej i z informacyj myśliwych, którzy tego sposobu z powodzeniem używają, gdyż ja sam nigdy ze straszakami nie polowałem. Główne wskazówki i dane do niniejszego artykułu zawdzięczam wybitnemu myśliwemu, p. K. Z., który rzecz już napisaną, łaskawie przeczytał i zaaprobował. Jako dowód zaś kompetencyi p. Z. przytoczyć mogę, że kółko myśliwych, którego on jest dyrektorem, na dzierżawionych przez siebie obszarach nad jeziorem Ładogą, przez listopad i grudzień, polując ze straszakami, wzięło 4 stare wilki, 1 rysia, 7 lisów i 5 łosi, oprócz dużej ilości zajęcy, zabitych po wzięciu miotów na grubą zwierzynę. Dodać należy, że w tych polowaniach brało udział bardzo niewielu myśliwych, raz tylko zjechało się pięciu, zwykle zaś liczba uczestników była od dwóch do trzech. Lecz przystąpmy do rzeczy.

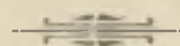
Przy polowaniu ze straszakami głównym warunkiem powodzenia jest dokładne otropienie miejsca, w którem wilki zalegną na dzienny odpoczynek. Jeżeli więc wilki pojawią się w jakiej okolicy przed wypadnięciem śniegu, to należy je zatrzymać, a jednocześnie zapobiedz szkodom w zwierzynie i inwentarzu przez podkarmianie padliną. Konie padłe, okaleczałe lub też stare i bezsilne znajdą się w każdej okolicy, a koszt nabycia takiej przynęty nie jest zbyt wielki. Padlinę porzuca się w miejscu, przez które wilki często przechodzą i, o ile można, spokojnem, żeby po najedzeniu się mogły blizko zalegać i nie były płoszone. Rozumie się, że aż do wypadnięcia śniegu, padlinę, w miarę jej zjadania, trzeba zastępować świeżą. Jak tylko upadnie ponowa i inne okoliczności pozwolą na ostateczną rozprawę z wilkami, należy otropić miejsce, w którem zalegały po rannym posiłku, lecz nie trzeba tego robić zbyt rano, żeby dać zwierzętom czas do uspokojenia się. Pamiętać należy wogóle, że w łowach tego rodzaju zbytni pośpiech jest niepotrzebny, a często szkodliwy. Cała sprawa kończy się ostatecznie na wzięciu jednego albo dwóch miotów, dość więc jest czasu do wieczornego mroku.

Wilki niepłoszone zalegają zwykle w ostępie, w którym leży padlina, lub w sąsiednim, od nich więc należy rozpocząć tropienie. Niepodobna jest dać jakichkolwiek szczegółowych wskazówek co do samej czynności tropienia, gdyż jest ono zależnem od miejscowych warunków. Powiem tylko, że najlepiej jest tropić po przeciętych liniach lub drogach, nie zapuszczając się w knieję.

U nas obecnie tak jest mało wilków, że i specjalistów wilczarzy prawie że niema. Ogólna jednak znajomość polowań z obławą, dokładna znajomość knici i wagi zwierzyny oraz spryt i rozwaga, mogą zastąpić brak fachowej wprawy w okładaniu wilków. Kiedy się okaże, że wilki w danej okolicy nie wyniosły się i ostęp, w którym leżą, został otropiony, przedewszystkiem należy zdecydować, stosownie do wagi knici i kierunku wiatru, z której strony ma być rozstawiona linia strzelców. Pędzenia pod wiatr, wobec doskonałego węchu wilków, stanowczo należy unikać i może być ono dopuszczone, jeżeli wiatr jest bardzo słaby, stanowiska znajdują się w gęstym lesie i bezwarunkowa waga zwierzyny leży w tym kierunku. Myśliwi i połowa obławy zbierają się w pobliżu tego miejsca, druga zaś połowa obławy posyła się dalekim obchodem na przeciwną stronę knici i tam w odległości przynajmniej pół wiorsty od projektowanej linii rozstawienia obławy, oczekuje dalszych rozkazów. Wtedy przystępuje się do rozwieszenia straszaków, których opis dam poniżej. Zaczynać rozwieszenie należy od stanowisk myśliwych i najlepiej z obydwóch jednocześnie. Dla myśliwych zostawia się linia swobodna, długa podług ilości stanowisk, które powinny być nie dalej jedno od drugiego, jak na 60 kroków; od skrajnych stanowisk do początku linii straszaków powinno być także nie więcej, jak po 60 kroków. Myśliwi powinni być rozstawieni na swe stanowiska, dobrze zakryte i zachowywać się zupełnie spokojnie od chwili rozpoczęcia zaciągania straszaków, a to dlatego, że wilki w czasie dokonywania tej czynności, mogą być przypadkowo ruszone i wyjść na linię. Długość linii rozstawienia strzelców zależną jest od ilości fuzyj. Np przy pięciu fuzyach będzie się równała czterem odległościom między fuzyami, mniej więcej po 60 kroków, i 2 odległościom od skrajnych stanowisk do początku straszaków, razem 360 kroków. Dla objęcia więc straszakami boków otropionej knici należy z początku zaciągać straszaki nie po liniach prostopadłych do linii strzelców, lecz w kierunkach, lekko do niej pochyłych od prawego stanowiska na prawo, a od lewego na lewo. Długość linii straszaków zależną jest także od długości kniei; w każdym razie przyjąć można za normę, że mogą się one kończyć, nie dochodząc na 100 lub 150 kroków do linii obławy, gdyż wilki ruszone, nigdy odrazu nie rzucą się w tył i na strony, lecz zawsze poddadzą nieco naprzód, a wtedy, choć uderzą na stronę, spotkają już boki knici zamknięte straszakami. Linie te powinny być także, o ile można, zbliżone do prostych; szczególniej unikać należy otaczania straszakami jakichś występujących na zewnątrz klinów, gdyż wilki, dostawszy się do takiego rodzaju matni i widząc z trzech stron straszaki, mogą tam przeczekać do zrównania się z niemi obławy i wtedy uderzą w tył. Wszystkie takie miejsca należy obcinać liniami straszaków, zmniejszając, o ile można, knieję, rozumie się, o tyle, żeby nie spłoszyć przedwcześnie wilków.

August Sztolcman.

(*Dok. nast.*).



Ze stosunków łowieckich w Japonii.

(*Dokończenie*).

Art. 4-ty ustawy zaznacza jasno miejsca, w których polowanie jest wzbronione. Do takich należą: rezerwy cesarskie, wszelkie miejsca, oznaczone tablicami z napisem: „polowanie wzbronione", drogi publiczne, ogrody publiczne, ogrodzenia świątyń, cmentarze i wszystkie miejsca ogrodzone, lub te, w których jeszcze sprzęt nie został dokonany, chyba, że istnieje specyalne pozwolenie właściciela terenu.

Rozdział drugi traktuje o pozwoleniach na prawo polowania. Pozwolenia takie wydają prefekci departamentów (w Tokio—prefekt policyi). Licencye te dzielą się na dwie kategorye, a mianowicie, jedne wydają się osobom, uprawiającym polowanie jako rzemiosło; drugie zaś—tak zwanym sportowcom, czyli osobom, polującym dla przyjemności. Nadto w obu kategoryach licencye dzielą się na klasę *A* (dla polujących bez broni palnej) i na klasę *B* (dla polujących z bronią palną). Pozwoleń na prawo polowania dla fachowców nie wydaje się: 1) urzędnikom powyżej stopnia *Hannin*; 2) osobom, płacącym podatek dochodowy; 3) osobom, płacącym powyżej 15 *yenów* podatku gruntowego i 4) osobom, należącym do rodziny, płacącej przynajmniej 15 *yenów* podatku dochodowego. Opłata za licencye wynosi: w kategoryi fachowców w klasie *A*—0,50 *yena*, w klasie *B*—2 *yeny*; w kategoryi zaś sportowców w klasie *A*—5 *yenów*, w klasie *B*—10 *yenów*. Licencya w klasie *A* wydają się na cały rok, poczynając od 15 października; w klasie zaś *B* mają tylko moc od 15 października do 15 kwietnia. Licencye są osobiste; fachowcy wszelako, opatrzeni licencyą *A*, mogą brać z sobą po trzy osoby w charakterze pomocników, od których nie jest wymaganem pozwolenie na prawo polowania. Licencyi *B* nie wydaje się osobom, niemającym 16 lat skończonych.

Rozdział trzeci poświęcony jest rezerwom, czyli miejscom ochronnym. Każdy poddany japoński, jeśli pragnie zaprowadzić u siebie miejsca ochronne, winien jest złożyć przez pośrednictwo prefekta prośbę na ręce ministra rolnictwa i handlu, oznaczając czas trwania rezerwy, która w żadnym razie nie powinna przeciągać się ponad 10 lat. Ministrowi handlu i rolnictwa pozostawia się prawo ograniczeń przy zaprowadzaniu miejsc ochronnych. Osoby prywatne mogą zaprowadzać rezerwy w lasach lub na stepach rządowych, lecz winny w tym celu wyjednać pozwolenie właściwych władz administracyjnych. *Maximum* rezerwy w jednej działce oznacza się na 1,500 *chobo* (około 3,000 morgów), za które opłaca się podatek 10 *yenów* rocznie. Gdyby jednak właściciel polowania chciał ustanowić miejsca ochronne na terenach przylegających, może to uczynić za opłatą 1 *yena* za każde

100 *chobo* (200 morgów). W miejscach ochronnych może tylko polować sam właściciel lub osoby, przez niego upoważnione, nie inaczej jednak jak za specyalnem pozwoleniem władzy.

Rozdział czwarty traktuje o ochronie zwierzyny. Art. 24 wylicza te ptaki i zwierzęta, na które polowanie jest wzbronione w ciągu całego roku. Tutaj należą: żórawie, bociany, jaskółki, skowronki, pliszki, sikory wszelkich gatunków, gajówki, mysie króliki, kukułki, dzięcioły, mucholówki, szpaki, świergotki, oraz jelenie, mające mniej niż rok (cielęta). W art. 25 wymienione są ptaki i zwierzęta, dla których ustanawia się czas ochrony od 15 marca do 14 października. Tutaj należą: bażanty (różnobarwny i miedzisty), przepiórki, dzikie gęsi, dzikie kaczki, słonki, bekasy, kurki wodne, łabędzie, słowiki, kosy, czaple, gołębie, srokosze, sójki, wodniki, jelenie, antylopy i zające. Prefektom pozostawia się swobodę przyspieszenia lub opóźnienia zamknięcia lub otwarcia polowania, nie więcej jednak jak o dni trzydzieści i nie inaczej, jak za specyalnem pozwoleniem ministra rolnictwa i handlu. Gdyby dla ochrony *yamamai* (jedwabnika dębowego) zaszła potrzeba niszczenia którego z ptaków lub zwierząt, wymienionych w art. 24 i 25, prefekci mogą w wyjątkowych razach dawać na to pozwolenie. Według art. 27 wzbronionem jest podbieranie, sprzedawanie lub kupowanie jaj ptaków, wymienionych w art. 24 i 25. Dowodzi to, że w Japonii niema właściwej hodowli bażantów, gdyż inaczej zrobionoby wyjątek dla tych ptaków.

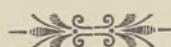
Ostatni rozdział (piąty) prawa japońskiego omawia kary za przekroczenia przeciw poprzednim jego artykułom. Naznacza się kary: 10 do 100 *yenów* za polowanie bez licencyi; 5 do 50 *yenów* za polowanie z materyałami wybuchowemi, lub łowienie na żelaza i łapki niebezpieczne, za polowanie od zachodu do wschodu słońca lub w miejscach zamieszkanych, oraz w cesarskich miejscach ochronnych lub na cmentarzach; 2 do 20 *yenów* za polowanie na cudzym, ogrodzonym gruncie lub przed sprzętem, za nienoszenie licencyi podczas polowania, lub za odmowę jego pokazania, za polowanie na zwierzęta i ptaki, wymienione w art. 24 i 25, jak również za podbieranie jaj tychże ptaków, ich sprzedawanie lub kupowanie; wreszcie 1 do 1 *yena* 95 *senów* za niepowiadomienie policyi o zgubieniu licencyi lub za niezłożenie jej w biurze policyi w razie ekspiracyi.

Egzaminując powyższą ustawę, nie trudno jest nam odkryć jej wszystkie słabe strony, a przedewszystkiem, że miała ona na względzie interesy fiskalne, czyli opodatkowanie polowania, a dopiero na drugim planie — ochronę zwierzyny. Widocznem to jest z wysokości kar, nakładanych na wykraczających przeciw różnym artykułom powyższego prawa, gdy bowiem za polowanie bez licencyi naznacza się karę do 100 *yenów* (około 200 rb.), polujący w czasie zabronionym, lub na zwierzynę, podlegającą ochronie, płacą karę tylko do 20 *yenów*; tej samej karze podlegają polujący w miejscach ochronnych. Samo określenie prawa własności łowieckiej jest w najwyższym stopniu wadliwe, wolno jest bowiem każdemu polować na moim gruncie, o ile ten grunt nie jest ogrodzonym, lub o ile nie zaprowadzę na nim miejsca ochronnego; a w tym ostatnim razie, płacąc dość znaczny podatek, nie mogę sam na rezerwach polować, chyba za specyalnem pozwoleniem władzy.

Że łowiectwo w dzisiejszem, kulturalnem znaczeniu tego wyrazu nie musi stać w Japonii wysoko, dowodem tego jest podział myśliwych na fachowców i sportowców, a względnie do tego wysokość opłaty za prawo polowania; oraz dozwolenie łowów przy pomocy sieci, wnyków, łapek etc., a względnie wysokie opodatkowanie licencyj na prawo polowania z bronią palną. Dorozumiewać się z tego można, że w Japonii pewna część ludności utrzymuje się z łowienia—przypuszczalnie ptactwa przelotnego, że zatem prawodawca miał na względzie interesy tej klasy ludzi, skoro podobne prawo ustanowił. Należało tylko wydzielić zwierzynę miejscową, a mianowicie: bażanty, jelenie, antylopy i zające, gwarantując specyalnemi prawami ochronnemi ich prawidłowe rozmnażanie, gdyż samo ustanowienie terminu ochronnego do tego nie wystarczy. Śmiesznym też jest po prostu zakaz polowania na cielęta jeleni przez rok cały, gdy jednocześnie wolno jest strzelać lub łowić łanie przez czas od 14-go października do 15-go marca.

Bądź co bądź Japonia, na polu gospodarki łowieckiej wzprzedziła znacznie Chiny, gdzie, jak dotychczas, prawo myśliwskie nie istnieje, z wyjątkiem polowań cesarskich, uważanych za miejsca ochronne.

Jan Sztolcman.



POLOWANIA W PERSYI.

Pewien myśliwy niemiecki w następujący sposób opisuje polowania w Persyi:

Na cóż tam można polować? — zapyta czytelnik. Oto wykaz zwierzyny miejscowej: lwy, tygrysy, pantery, wilki, rysie, hyeny, szakale, lisy, dzikie koty, niedźwiedzie, borsuki, jeżozwierz, jeleń, sarna, dzik, dzika koza (bezoar), dziki baran (muflon), gazela, dziki osioł — słowem grubego zwierza poddostatkiem, a gdyby wyliczać drobniejszą zwierzynę, nie byłoby temu końca.

Nie należy jednak sądzić, że wymienione gatunki przebywają wspólnie w Persyi. Myśliwy musi zwiedzać rozmaite strony kraju, stosownie do zwierzyny, na którą poluje. Każdemu radzę przedsięwziąć w tym celu podróż wywiadowczą. Opieram się w tym względzie na własnych doświadczeniach lub też na sprawozdaniach wiarogodnych. Lew przebywa wyłącznie na południowym zachodzie Persyi, w okolicach Shirazu i w Arabistanie. Jest daleko słabszy od swego brata afrykańskiego i ma grzywę mniej obfitą. Trafia się rzadko. Czy warto urządzać na niego polowania?rzecz wątpliwa. Nie zdarzyło mi się nigdy słyszeć o rezultacie pomyślnym.

Więcej szans powodzenia mają łowy na tygrysa. Nie znaczy to jednak, że kto wyruszy na polowanie, po tygodniu wraca z łupem; lecz kto się nie liczy z pieniędzmi i czasem, ten może się spodziewać dobrych rezultatów. Co rok pada tam około 50 tygrysów. Cyfra ta jest tylko przypuszczalną, nie zaś ścisłą, albowiem oparta na liczbie skór, wyprawianych za drogie pieniądze do Rosyi.

Tygrys trafia się tylko w lesistych prowincyach nad morzem Kaspijskiem, a zatem w Lenkorani, w Giłanie, w Massandaranie i w okolicach Astrabadu. Stosownie do pór roku, obiera główne kwatery to tu, to ówdzie. Na jesieni trzyma się również i podgórzy, ciągnących się pomiędzy Elbrusem a morzem; spotyka się tam także nieprawdopodobną wprost ilość dzików, stanowiących największą plagę ryżowych plantacyj. Persowie, skutkiem religijnego przesądu, nie polują na szkodniki. Na jesieni bydło pastwiskowe stadami zalega olbrzymie przestrzenie dżungli, zarośli, paproci i cierni; latem zaś wypędzane bywa w góry. Tygrys za bydłem odbywa też wędrówki, żywi się niem, oraz dzikami, spotykanemi wszędzie po lasach. W ciągu moich trzymiesięcznych wędrówek po tych okolicach nie zdarzyło mi się słyszeć, by tygrys napadł na człowieka. Wątpię też, by pożerał dużo bydła, bo w takim razie nie pozostawionoby stad na swobodzie. Głównem jego pożywieniem są zapewne dziki. Tygrys perski nie jest identyczny z tygrysem indyjskim, o którym możnaby przypuszczać, że przez góry Afgańskie przywędrował do Persyi, lecz jestto tygrys syberyjski. Świadczy o tem silna budowa ciała, a przede-

wszystkiem szerść dłuższa, która na karku dochodzi niemal do rozmiarów grzywy. Tygrys bywa zabijany prawie wyłącznie przez myśliwych perskich z zasadzki. Myśliwy przywiązuje kozę, sadowi się na drzewie i zabija tygrysa w chwili, gdy się skrada. Pewien mój znajomy przebywał czas jakiś w Gilanie, polując tam na wytropionego tygrysa. Znudzony kilkodniowem wyszukiwaniem, postanowił go zaniechać. Upewniano go wprawdzie, że wyjdzie nazajutrz, pomimo to odjechał. Tejże samej nocy wieśniak, Pers, zabił tygrysa. Byłto okaz wspaniały; podziwiałem go podczas mojego pobytu w Gilanie.

Częściej jeszcze od tygrysów trafia się pantera. Przebywa ona nietylko w prowincyach: Gilan, Astrabad, Massandaran, Oderbeidżan, lecz i bardziej na południe, gdzie już lasów niema. Tu kryje się w górach. Niekiedy rzuca się na bydło, przeważnie jednak żywi się muflonami i dzikiemi kozami. Przebywa albo w sitowiach, albo w gąszczach cierniowych, rosnących nad brzegami leśnych potoków, lub też ukrywa się na górskich wyżynach, w miejscowościach, dla człowieka niedostępnych. Budzi wielką obawę w myśliwych perskich, ponieważ postrzelona jest bardzo niebezpieczną. Polowanie na pantery nie łatwe, albowiem zapędza się ona bardzo daleko, tak, że spotkać ją można tylko wypadkiem. Szach perski zabija zwykle rocznie 2—3 panter w rewirze leśnym Dżagerud, obfitującym w muflony.

Podczas, gdy amatorom polowania w Persyi zdarza się rzadko strzelać do tygrysa lub pantery, mogą natomiast korzystać dowoli z bardzo interesującego polowania na muflony i dzikie kozy. Muflon (dziki baran) przebywa na suchych, nagich górach północnego Aderbeidżanu, na południe od gór Kaukaskich, oraz na południowych stokach Elbrusu. Czy muflon trafia się dalej na południe, tego nie wiem, ale wątpię, albowiem nic o tem nigdy nie słyszałem.

(*D. c. n.*).

Mieszańce lwa z tygrysem.

Zwierzyniec Hagenbecka w Hamburgu, o którym pisaliśmy w n-rze 5-ym naszego pisma z r. b., posiada obecnie trzy nadzwyczaj rzadkie okazy mieszańców lwa z tygrysem. Jakkolwiek oba te gatunki zwierząt żyją w niektórych krajach obok siebie, (a mianowicie w Indyach Wschodnich i w Persyi), to jednak na swobodzie nigdy się z sobą nie krzyżują. Hagenbeck otrzymał mieszańce, hodując od młodu w jednej klatce lwa nubijskiego z tygrysicą bengalską.

Załączona figura przedstawia dwa takie hybridy, urodzone 21 kwietnia 1901 r., a zatem liczące obecnie po dwa lata. W następnym numerze zamieścimy jeszcze figurę mieszańca lwa z tygrysem, liczącego obecnie 5 lat wieku.

Fotografie tych, niezmiernie ciekawych mieszańców otrzymaliśmy dzięki uprzejmości Józefa hr. Potockiego, który w lutym r. bież. odwiedził zwierzyniec Hagenbecka w celu zakupienia egzotycznych jeleni *(Cervus Dybowskii)* dla swego parku w Pilawinie, o czem zamieścimy wkrótce oddzielną wzmiankę. Hagenbeck ofiarował obie fotografie hr. Potockiemu, który je nam łaskawie do reprodukcyi udzielił.

Według zdania hr. Potockiego, mieszańce lwa z tygrysem mają zwykłą żółto-płową maść ogólną, lecz pręgowanie nie jest czarne, jak u tygrysa, tylko koloru ciemno-żółtego.

Z Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa.

Posiedzenie Rady, 16 marca. Pan Gubernator siedlecki zawiadamia Radę, że stosownie do żądania wydał polecenie o zaopatrzenie 8 strzelców naszego Oddziału w bezpłatne bilety na prawo otrzymywania broni. Tak znaczna liczba biletów potrzebna była z powodu zmiany stróżów Osieckich oraz zwiększenia wogóle liczby strzelców, którzy obsadzeni zostaną na nowozadzierżawionych terenach myśliwskich Oddziału w dobrach Miedzyńskich.

P. Oberpolicmajster m. Warszawy zawiadamia o poleceniu wydania biletu na prawo utrzymywania broni Członkowi Rzeczywistemu p. Dobrowolskiemu.

P. Skórzewski z Chełma przedstawia Radzie strażnika noworadomskiego powiatu, Walewkę, który w 23 wypadkach w ciągu roku wykazał swoją gorliwość w tępieniu kłusownictwa. Rada postanowiła dać Walewce 15 rub. nagrody.

Posiedzenie Rady, 23 marca. P. Rychter zapytuje, czy wprowadzone już zostały nowe, obostrzone przepisy co do kłusowników i wszelkich nadużyć myśliwskich? Nie wiemy, jakie przepisy p. R. ma na myśli, żadne bowiem nowe przepisy w drodze prawodawczej w ostatnich czasach w tym przedmiocie wydane nie zostały. Pp. gubernatorowie wydali okólniki, przypominające o odpowiedzialności wójtów i sołtysów za broń, potajemnie w ich wioskach utrzymywaną, okólniki te jednak opierają się na przepisach, obowiązujących od 1871 r. i pobudzają jedynie do wznowienia nadzoru w tym kierunku, nie mówiąc o obostrzeniu kar. W tym też duchu otrzyma odpowiedź p. R.

Naczelnik pow. olkuskiego przedstawia starszego strażnika ziemskiego Oleśko, który odebrał w r. z. 18 broni kłusownikom. Rada postanowiła zapytać p. gubernatora kieleckiego, czy nie zachodzą przeszkody w odznaczeniu Oleśko zegarkiem, jako nagrodą szczególną.

Obiad składkowy w celu uczczenia honorowego Członka i prezesa naszego Oddziału, generała Iwanowa, nie przyszedł do skutku z powodu choroby generała. Obecnie zdrowie prezesa już się poprawiło, wybiera się jednak wkrótce na południe, tak, że uczta na jego cześć odłożona została na czas dłuższy.

Na posiedzeniu Delegacyi Wyborczej, w d. 21 marca, następujący kandydaci wybrani zostali na Członków Rzeczywistych Oddziału, pp.: Zobek Henryk ze Staszowa, Borkowski Wincenty ze Staszowa, Krasowski Juliusz z Otroków, Dłużewski Karol z Popyłkowa i Karczewski Stanisław z Warszawy.

Warunki III-ej Warszawskiej Wystawy psów.

1. Warszawski Oddział Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa urządza we własnym lokalu (Nowy-Świat 35) w r. b. (1904) III-cią wystawę psów rasowych. Otwarcie wystawy nastąpi w czwartek, dnia 13 (26) maja o godzinie 11-ej rano zamknięcie zaś w niedzielę, d. 16 (29) maja o godz. 8-ej wieczorem.

2. Wystawa ma na celu popieranie hodowli psów rasowych, oraz ułatwienie pp. myśliwym nabywania psów myśliwskich.

3. Na wystawę przyjmowane będą psy wszelkich ras, zarówno myśliwskie, jak i niemyśliwskie, z zastrzeżeniem jednak, że psy bez rodowodów dopuszczane jedynie będą za uznaniem specyalnej komisyi, która psy kwalifikować będzie w przeddzień otwarcia wystawy, t. j. d. 12 (25) maja, poczynając od godz. 10-ej rano do godz. 2-ej po południu.

4. Zapisy przyjmuje kancelarya Towarzystwa (Nowy-Świat 35) do 10 (23) maja włącznie.

5. Cena miejsc od każdego psa, bez różnicy wielkości, ustanawia się na 3 ruble, płatne z góry przy zapisywaniu psa.

6. Każdy pies powinien być zaopatrzony w obrożę z kółkiem do przywiązania.

7. W razie życzenia eksponentów psy mogą być karmione na koszt Towarzystwa, które pobierać będzie po 1 rublu 50 kop. za karmienie każdego większego psa i po 1 rublu za mniejsze psy, przez przeciąg trwania wystawy, t. j. przez dni cztery.

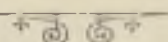
8. Byłoby do życzenia, aby pp. eksponenci zabierali swe psy na noc do domu. W razie niemożności psy zostaną pod nadzorem służby Towarzystwa.

9. Psy, w czasie trwania wystawy mogą być wyprowadzane na noc li-tylko za złożeniem kaucyi 10 rb., które przepadają w razie niedostawienia psa dni następnych.

10. Psy chore lub suki grzejące się przyjmowane nie będą.

11. Psy nagradzane będą dyplomami na medale złote, srebrne, bronzowe i listami pochwalnemi.

12. Wzrok sędziów nie podlega apelacyi.



Drobiazgi myśliwskie.

Toki cietrzewi już się rozpoczęły. Przed kilkoma dniami siadały one na krótko na ziemi i wszczynały swój gwar miłosny. Ciepła ostatnich dni zapewne rozbudziły już w pełni wiosenną pieśń cietrzewi.

Wiosna. Bociany ukazały się w połowie marca w okolicach Warszawy. Bociany zawędrowały nawet na ulicę Marszałkowską, gdzie trzy z nich, zmęczone widocznie długą podróżą, usiadły w godzinach popołudniowych na jednym z domów. Po półgodzinym przeszło odpoczynku, któremu przyglądały się tłumy przechodniów, bociany uleciały w stronę Mokotowa. W tymże czasie widziano także przelatujące nad Warszawą dzikie gęsi.

Wojna i polowanie. Z listów żołnierza-polaka, przesłanych z pod Charbina do „Gazety Świątecznej", dowiadujemy się między innemi o następujących szczegółach: „Żołnierze są rozstawieni przy drodze żelaznej w ogromnym boru, tak gęstym, że nijak przejść nie można. A góry takie, że nie można okiem zajrzeć... Zwierzyny w tym boru co niemiara, i wszelakiego zwierza drapieżnego, tygrysów, niedźwiedzi i innych. Wyjdziemy na polowanie, zabijemy sarnę, jelenia i mamy mięsa, ile kto chce. Różnej zwierzyny nabijemy i sami sobie nagotujemy". „Jednego dnia jesteśmy na służbie, a na drugi dzień mamy odpoczynek. Dobrze nam w tym boru dlatego, że dużo zwierzyny. Byłem teraz na polowaniu i zabiłem dziką świnię tak dużą, że dziesięciu ludzi nie mogło jej przyciągnąć. Było 15 pudów samego mięsa, prócz skóry, kości i flaków. Saren też dużośmy nazabijali."

„Jarczak". Przytoczyliśmy swojego czasu epizod z najnowszej powieści Sienkiewicza „Na polu chwały", zawierający opis walki między wilkami a dzikami. W opisie tym było między innemi zdanie następujące: „Dziki ustawiły się w okrągłą kupę, *jarczaki* w środku, tęgie sztuki po obwodzie..." Z tego powodu nadesłał p. R. M. do „Poradnika językowego", wydawanego w Galicyi, zapytanie, co znaczy jarczaki, dodając, że właściwie „jarczak" oznacza: 1) lekkie siodło tatarskie, 2) bobra—roczniaka, 3) pierwsze szczenię od suki (Muller I, str. 222; Słownik Wileński I, str. 433; Słownik Karłowicza II, str. 135); w przytoczonem zdaniu „jarczaki" oznaczają chyba „słabsze dziki" lub może młode warchlaki? Na to redakcya „Poradnika" odpowiada: „Ponieważ *jarki* znaczy: pochodzący z tegorocznej wiosny, *jarka* u górali owca roczna,—może *jarczak* lub *jarczuk* znaczy wogóle młode zwierzę, niemające jeszcze roku".

Zdziczenie danieli. Niektóre dzienniki donosiły, że daniele ze zwierzyńca w Skierniewicach zarząd zwierzyńca sprzedaje i rozpuszcza swobodnie po lasach dlatego, iż za bardzo jakoby się rozmnożyły. Tymczasem idzie tu naprawdę o co innego zupełnie. Zwierzyniec w Skierniewicach został skasowany i rozgrodzony, ale pomimo tego daniele, odżywiane regularnie i obficie, trzymały się jednego miejsca i tak są oswojone, że na widok ludzi nie ruszają się z miejsca. Obecnie więc wykreślono kwotę wydatków na karmienie danieli, które, pozostawione własnemu losowi, w poszukiwaniu paszy będą zmuszone rozejść się w różne strony, a ustawicznie płoszone, zdziczeją.

Przeciw wodowstrętowi. Niedawno podaliśmy szczegóły o leczeniu tej choroby w Warszawie. Obecnie znów krakowski zakład szczepień ochronnych przeciw wodowstrętowi ogłasza w „Przeglądzie lekarskim" sprawozdanie z działalności swej za rok zeszły. W roku tym zgłosiło się do zakładu ogółem 516 osób. Największa liczba pokąsanych (70) przypada na czerwiec, potem idą: luty 63, maj 54, kwiecień 49, lipiec 41, listopad 40, marzec, wrzesień i październik po 36, styczeń 34, sierpień 32, grudzień 25. Na 500 osób szczepionych zmarło wśród objawów wodowstrętu ogółem osób 8, co równałoby się 1,6% śmiertelności. Znaczny stosunkowo odsetek śmiertelności nie da się wyjaśnić inaczej, tylko szczególnemi własnościami zarazka zeszłorocznej epidemii wodowstrętu. Szczepienia wykonywane były w ogólności w czasie właściwym i w dostatecznej liczbie. Podobne podwyższenie śmiertelności notowano w roku ubiegłym również w zakładzie wiedeńskim; mianowicie 1,3%. Zwierzętami kąsającemi były: w 483 przypadkach psy, w 21 przypadkach koty, w 3 przypadkach konie i krowy, w 1 przypadku borsuk, lis, świnia i cielę, wreszcie w 2 przypadkach dzieci, dotknięte wodowstrętem.

Gronostaje. Z powodu niedokładnych wiadomości o gronostajach w Królestwie Polskiem warto zaznaczyć, że w okolicy Sieradza w gub. kaliskiej gatunek gronostaja „*Mustela erminea*" gnieździ się często w stodołach. We wsi Smardzewie i Poskach gronostaje są bardzo pospolite, a więcej ich nawet od zwyczajnych łasic *(Mustela vulgaris)* i od tchórzów *(Mustela putorius)*. Małe ich białe futerko nie przedstawia żadnej wartości u miejscowych handlarzy, którzy wolą nabywać skóry tchórzów, zwane elkami, lub też futerka kuny *(Martes)*, sprzedawane pod nazwą tumaki. Zabicie gronostaja, jak również łaski, uważane jest tam przez rolników za niewłaściwe, ponieważ zwierzątka te tępią myszy, oraz szczury i króliki. Gronostaj w lecie jest podobny barwą do łaski, tylko trochę jaśniejszy i większy, a w zimie zupełnie biały i tylko koniec ogonka ma czarny.

Łoś w grobie. Sensacyę, podobną do rozgłaszanej niedawno historyi o niedźwiedziu w beczce, opisują teraz pisma rosyjskie. Niedaleko od stacyi kolejowej Michałówki zmarła stara kobieta, która zostawiła znaczny majątek. Wyprawiono jej też wspaniały pogrzeb, któremu towarzyszył nader liczny orszak. Gdy ludzie zbliżyli się do grobu już wykopanego, wysunęła się z niego nagle przerażająca głowa z rogami. Część orszaku, znajdująca się najbliżej grobu, zaczęła krzyczeć: „Gwałtu, w grobie leży dyabeł!" Sądzili bowiem, że czarna głowa z rogami należeć może tylko do dyabła. Powstał też hałas i zamieszanie. Ludzie chcieli rzucić zwłoki i uciec jaknajprędzej. Znalazło się jednak kilku „śmiałków", którzy odważyli się podejść bliżej do grobu. Tutaj dopiero przekonali się, że w grobie leży łoś, który wpadł tam przypadkiem w ucieczce przed myśliwym.

Myśliwy „niemiecki". Podczas skandalicznego procesu Piotra Arenberga, „pioniera kultury niemieckiej" w koloniach niemieckich w Afryce, świadkowie między innemi mówili o okrucieństwach, jakiemi odzna-

czał się na polowaniu. Do najulubieńszych rozrywek Arenberga należało *dręczenie ranionej zwierzyny*; zamiast dobić ubezwładnionego jelenia, rozszerzał z lubieżnem upodobaniem kanał postrzałowy lub zatapiał ręce w jego wnętrznościach i bawił się konwulsyami konającego zwierzęcia. W dzieciństwie też w ten sposób już dręczył ptaki, psy i koty, a namiętności tej chorobliwej pozostał wierny w życiu późniejszem. W Afryce ulubionem zajęciem Arenberga było podpalanie skrępowanych dromaderów. Nielepszy był względem ludzi. Mulata Kaina, posądzonego niesłusznie o szpiegostwo, postrzelił w nogę żołnierz, stojący na warcie. Na odgłos strzału wybiegł z mieszkania swojego Arenberg, wypalił od niego z rewolweru i zraniwszy go w głowę, pochwycił stempel od strzelby i zaczął nim wiercić w ranie biedaka, a gdy i to nie uśmierciło mulata podniósł go z ziemi i trzymając z tylu za ręce, kazał żołnierzom kluć go bagnetami. Takiem „szlachtowaniem" zwierząt i ludzi zajmował się tam stale.

Skowronek jako szkodnik. Słyszeliśmy o wielu rzeczach, lecz zapewne nikomu nie zdarzyło się u nas spotkać zdania, że ten niewinny ptaszek zaliczonym być może do szkodników. Nauka przychodzi nam z Francyi. Prefekt departamentu Charente-Inférieure, jako człowiek dobrze myślący, wydał rozporządzenie, zabraniające polowania na skowronki. Nie spodziewał się jednak, że obywatele jego departamentu założą protest przeciw tak sympatycznemu rozporządzeniu. Protest ten w formie prośby do ministra rolnictwa, wyszedł ze strony mieszkańców okręgu La Rochelle i opatrzony był 2000 podpisów, wyłącznie miejscowych rolników, którzy dowodzą, że skowronek przynosi wielkie szkody rolnictwu, zarówno podczas siewów, jak i w chwili kiełkowania. Inna znów prośba, opatrzona 400 podpisami, postawiła kwestyę na gruncie czysto myśliwskim. Mianowicie 400 mieszkańców tej samej gminy La Rochelle skarży się w niej, że dekret p. Prefekta pozbawia ich sposobności polowania przez cały miesiąc, w którym wzbronione jest polowanie na wszelką inną zwierzynę.

Amator. W restauracyi kelner zapytuje:

— Może jaśnie pan pozwoli jarząbków, kuropatewkę, albo zajączka?

Co, teraz?.. Mnie stać na to, abym wtedy jadał zwierzynę, gdy na nią polować nie wolno!

* * *

Poskromicielka lwów: — Tak, panie kapitanie; miałam już kilka specyalności: tańczyłam na drucie, poskramiałam lwy...

— W którym pułku?

* * *

Napis na wagonie kolejki podmiejskiej:

„Od Nowego Roku podróżującym myśliwym wzbroniono pociągać za linkę ratunkową na widok siedzącego na polu zająca".

Wykazy Myśliwskie.

W Białaczewie (w pow. opoczyńskim) w majątku Zygmunta hr. Platera, padło przez rok ubiegły (rok myśliwski do 1 marca):

Zwierzyny użytkowej: jeleni 14 (9 byków, 5 łań), rogaczy 2, zajęcy 116, królików 60, bażantów 10, cietrzewi 7, kuropatw 38, kaczek 6, przepiórek 6, różnych 14, razem 273 sztuk.

Zwierzyny drapieżnej: lisów 21, psów 117, kotów 30, łasic 25, tchórz 1, borsuków 4, wron 1003, srok 86, jastrzębi 38, różnych 30, razem 1355. Ogółem przez rok myśliwski 1903—1904 sztuk 1628.

Rok ten niezmiernie dał się we znaki zwierzynie z powodu powodzi i długotrwałych ulew. Kuropatwy, których tu padło do 800, wymarniały tak, że z wyjątkiem 150 sztuk, wychowanych sztucznie—prawie zupełnie na dziko wyginęły i wcale na nie nie polowano. To samo z bażantami. Zajęcy podniesiono około 100 zdechłych na motylicę. Od 1 marca sporo młodziaków się widuje. W trzech najlepszych rewirach, dających po 250 do 300 sztuk dziennie, nie polowano wcale. Oby rok zaczynający się był dla zwierzyny pomyślniejszym.



ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Panu Z. R. w Sępetalu. Kwestyonaryusz Szanownego Pana w trzech ważnych sprawach łowieckich pomieścimy wkrótce, dając na dwie pierwsze odpowiedzi; na trzecią mogłoby dać odpowiedź Tow. praw. myśl. przez wydanie odpowiedniej broszury drogą konkursu.

Treść Nr. 7 „Łowca Polskiego".

Prenumerata **„Łowca Polskiego"** wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie rub. 1 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop., kwartalnie 1 rub. 75 kop.

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 franków.

Pojedynczy numer „ŁOWCA POLSKIEGO" 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„ŁOWCA POLSKIEGO" prenumerować można: w Kantorze Administracyi „ŁOWCA POLSKIEGO" Warecka 15, w Kancelaryi Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, Nowy-Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do „Łowca Polskiego" adresować należy: Smolna 34, w Warszawie.